

A sepia-toned portrait of an elderly man with a full white beard and hair, looking slightly to the right. The background is a soft-focus outdoor scene with trees. The text is overlaid on the image.

KAROL LUDWIK KONIŃSKI

DALSZE LOSY
PASTORA HUBINY

Karol Ludwik Koniński

Dalsze losy pastora Hubiny

(Ciąg dalszy opowiadania *Straszny czwartek w domu pastora*)

.....

Fundacja FESTINA LENTE

Pastorowa wróciła. Na białej twarzy Hedyty był rozkwit – cichy i tajemniczy. Tajemnica nie starła się z oczu, co się umykały przed wzrokiem pastora. W kilka dni później przyjechał Adalbert von Kschitzky, pianista, gdzieś w Berlinie czy Wrocławiu umówiony nauczyciel muzyki dla Olesi. Dom – od tyłu miesiące pusty i głuchy – napełnił się dźwięczną monotonią gam i pasaży we dnie, a wieczorami aksamitnym zgiełkiem muzyki, głębokiej i dla pastora trudnej. Grali na cztery ręce, ale częściej Kschitzky grał, a Hedyt słuchała. I pastor słuchał – od siebie, z dołu, ze swej pracowni, w której ślęczał nad swym dziełem „O dziejach uczuć religijnych w Polsce”. Pisząc, przepisując, wertując, namyślając się, słuchał muzyki; ale uważniej, gorliwiej, cierpliwiej słuchał milczeń; muzyka urywała się; wtedy pastor odkładał pióro; oparty o poręcz krzesła, z oczyma przymkniętymi, myślał; ale myślał nie o uczuciach religijnych w Polsce: zastanawiał się, „co oni tam robią”. Wyobrażał sobie wyraźnie, jak odłożywszy jedne nuty, szukają innych; jak się umawiają, co teraz zagrać; jak przeglądając stosy nut, wyrażają przy sposobności uwagi i spostrzeżenia o Beethovenie, o Bachu, o Wagnerze; jak stałym już swoim zwyczajem,

co w komunał zaczynał przechodzić, subtelnie rozróżniając między „nerwową, feminalną nastrojowością” Szopena a „męską i rozumną głębią” Beethovena. To wszystko wyobrażał sobie pastor Hubina siedząc u siebie na dole, pod zielonym kloszem lampy, nad fascykułami starych ksiąg i stertami notatek. Wyobrażał to sobie – i liczył czas na zegarku przed sobą. Minuta, pięć minut, sześć, dziesięć, piętnaście, dwadzieścia jeden... Co oni teraz robią? Rozmawiają, na pewno rozmawiają o muzyce. Z góry, z pierwszego piętra, ze saloniku – w którym Hedyta i von Kschitzky uprawiali swą muzykę głęboką i trudną – spływała cisza. Nie, ona nie spływała! Cisza kapiała kroplami; kapiała co sekunda; między jedną sekundą a drugą był dystans przepastny; czas rozdrobnił się na punkty; każdy punkt był osobno, niezmiernie daleko jeden od drugiego; w każdym punkcie czasu osobno, z osobna każda, kapiała z góry – pastorowi Hubinie na głowę – kropla ciszy. Liczył te krople. Już ich naliczył dziesiątki i setki. W ciągu tych długich wieczorów, kiedy nadśłuchiwał ciszy w przerwach między muzyką tam z góry – już mu na głowę spadło tysiące i dziesiątki tysięcy kropel ciszy tej, niepojętej i nieubłaganej. Ileż jeszcze setek tysięcy i milionów ich miało się wciąż na łeb mu sypać, jakaż lawina tajemnicy złowrogiej – tam z góry – miała się wysypać i zasypać go? „Trzeba się przyzwyczaić” – mówił sobie – „trzeba ufać...” Ale dziwna rzecz: przyzwyczajanie się zawiodło; każda nowa sekunda niepokoju – „Co oni teraz tam na górze robią?” – była potężnie świeża, niespodziewanie nowa,

nieugięcie ciężka, niewytarte miała szpony; każda coraz głębiej, coraz dosłowniej i coraz ordynarniej rozdzierała fizyczne, cielesne, materialne serce pastora Hubiny.

„Trzeba ufać, trzeba wierzyć... Dlaczego «trzeba»? Dlaczego «ufać», dlaczego «wierzyć»? Jak umieć wierzyć tajemnicy? Tajemnicy, która się nigdy roztworzyć nie chce, wciąż się wymyka. Wierzyć? Uspokajać siebie swoją myślą, sobie wygodną, sobie miłą; a tam – poza mną – obojętna na moje myśli, na moje zachcianki, od moich o niej pomysłów zgoła niezależna, mocna w sobie jak kamień, kamiennie uśmiechnięta, siebie znająca, sobie, sobie i tylko sobie wiadoma – trwa w sobie tajemnica. I cóż mi po niej? Ufać, wierzyć...”

Już na kolei, kiedy Hedyt wysiadła z wagonu i zrealizowało się przed nim marzenie uporczywe tylu pustych miesięcy; kiedy ona, smukła i wykwintna, w swej obcisłej sukni długouda, w swym futrze puszystym białolica, pod czarnym kapelusikiem szmaragdowooka, pachnąca dyskretnie jakąś wonią, w której się streszczał narkotyczny urok dalekiego świata blasków elektrycznych muzyki słodko, niepokojąco a banalnie melancholijnej; kiedy ona wysiadłszy z wagonu lekkim krokiem, z jakimś bukietem nadwiędłych róż, żółtych i purpurowych, podała mu wąską dłoń w zamszowej rękawiczce – już wtedy, w tym pierwszym powitalnym momencie, pastor Hubina błyskawicznie przeczuł, że tajemnica nie minie. Że się nie zmieni nic; że nie ma żadnej racji dostatecznej, aby się cośkolwiek zmieniło. Że się żadne życie nowe nie wplecie w systemat starego

życia; to jedno, to pierwsze powitalne spojrzenie – martwe i pierzchliwe – powiadomiło go z nagłą o wszystkim, co go czeka.

Po południu tego dnia stali nad grobem dzieci. W bezsłonecznym i bezkolorowym, ale ostrym i przejrzystym świetle marcowego dnia, w wilgoci topniejących śniegów, w przedwiosennej, od śniegu obnażonej ruinie świata, który za dzień, za chwilę, wiosna buchnie - - ale teraz jeszcze leży obdarty i nieporządny, jak go jesień niszczycielka w ubiegłym roku zostawiła była w cichutkim powietrzu prowincjonalnego cmentarza, kiedy tylko jakiś ptaszek pierwszy, od czasu do czasu, gdzieś z ukrycia odzywał się naiwnie „cyk, cyk-cyk, cyk” – oni stali nad grobem dzieci i wpatrywali się w napis, co przed nimi leżał w kamieniu wyryty, ciemniejący chłodnymi rysami wilgoci w wydrążeniach liter:

IRMA HUBINÓWNA lat 20
BOGDAN HUBINA lat 9
zmarli dnia 22 września 1912 r.
w Przygórzu

Niech w Bogu spoczywają
Dobrym dzieciom – smutni rodzice
ten kamień położyli.

*Czuwajcież tedy, bo nie wiecie, kiedy Pan przyjdzie –
Z wieczora-li czy-li o północy, czy-li gdy kury pieją, czy-
li rano,*

*By snadź, niespodzianie przyszedłszy, nie zastał was
śpiącymi.*

Tępo patrzyli na ten napis grobowy. Odczytywali go raz po raz – i o tym tylko myśleli oboje: raz już odejść stąd... Cóż z tego, że razem stoją nad mogiłą nieszczęśliwych dzieci? Stoją razem, a osobno; kochają te biedne, bezbronne, bezpowrotnie minione dzieci, ale nie kochają ich razem. Ja wiem, że ty kochasz te dzieci, a ty wiesz, że ja Kocham te dzieci; ale dzieci, które ty kochasz – to są twoje dzieci, które ja Kocham – to są moje dzieci; to nie są te same dzieci, to są jakieś inne, inne dzieci... Tak stali razem nad grobem niepotrzebnym, w przejrzyste marcowe popołudnie, kiedy w ruinie drzew zeszłorocznych jakiś ptaszek przedwiosenny samotnie się odzywał, a w nich rosła i podnosiła się coraz nieznośniej myśl oczywista: osobno jesteśmy. Olesia stała przy nich – jak zwykle zadumana, znudzona, z mgiełką leniwego smutku w bladych oczach. Pastorowa odezwała się pierwsza: „Nic z tego...”

– Wszystko na nic – replikował głucho. Przeżegnali się, poszli.

Po drodze do domu pastorowa nachyliła się do Olesi i, całując ją namiętnie, wyszeptała: „Nie chodź na cmentarz, zapomnij, zapomnij !...”

Olesia odpowiedziała niewinnie, ze zwykłym sobie lenistwem w głosie: „Ja już dawno zapomniałam”.

Wracali przez dziedziniec kościelny; w porywach wietrznych surowego przedwiośnia, w powietrzu chłodnym, jeszcze śniegiem i zarazem jakby już wiosną pachnącym – na niebie bezbarwnym ale bardzo jasnym,

czernił się i chwiał się blaszany kogut nad dachem kościoła; próbował trzepotać skrzydłami, wysiłał się, aby pisać, krzyczeć, wołać i ostrzegać tradycyjnym swoim hasłem: „Ludzie, ludzie chrześcijańscy, czuwajcie”. Lecz nie wydał głosu; zamarło pianie w otwartym rozpaczliwie dziobie; skrzypiał tylko rdzawo i szkliwie w podmuchach wiatru, ten kawałek wyciętej blachy.

* * *

To była pierwsza klęska: ten powrót z cmentarza. Wiele był bowiem tuszył sobie po tych odwiedzinach „u dzieci”. Od owego wieczora u księdza Wątorskiego, kiedy to wyrwał się odeń szybko, aby płaczem nie wybuchnąć (bo wtedy po raz pierwszy rozkleiły się w nim zastygłe od straszego dnia ławice łez), kiedy biegł przez ciemne miasto do domu, dławiąc w sobie płacz, ażeby go kto płaczącego nie spotkał, od tej nocy spędzonej w domu już pustym – znowu już i długo pastor Hubina nie zaznał ani łzy. Ale spodziewał się tajemnie, że jeszcze kiedyś zapłacze serdecznie. Zapłaczemy razem, tam nad grobem. Zapłaczemy razem – i odtąd zacznie się nowe życie. Życie już starcze, smutne – ale spokojne. Już bez nowych dzieci, już bez namiętności i bez żądz – i bez tajemnic. Pisał do Hedyty: „Już się będziemy starzeli – ale razem, ale w ciszy, ale w pamięci, ale dla Olesi, ale dla ludzi, ale w Bogu, ale dla Boga...”

Teraz wracali stamtąd, „od dzieci”, a tam, przy „przy dzieciach”, nie zdarzyło się nic, na co czekał. Rozpadła się ta chwila i nie wróci. Już nigdy razem – po raz pierwszy znowu razem – nie staną nad mogiłą i nie zapłaczą razem, wspólnym rozczeniem rozbrojeni i powiązani na zawsze. Już raz na zawsze minęła ta okazja jedyna i drugiej takiej nie będzie. To jest pewne i niewątpliwe, i oczywiste.

* * *

Noc zbliżała się. Pastor Hubina niby to opieszale – kłamiąc sobie brak niecierpliwości – swym codziennym wieczornym zwyczajem, przymykał okiennice starego domu i okiennice sypialni, gdzie jedyne łóżce, staroświeckie, potężne, w czas nagotowane przez skrzętną Dominikę, już się bieliło szeroko niepokalaniem chłodnym świeżej pościeli; ogień drzewny trzaskał w piecu. Wieczór mijał powoli, nierozmowny i ciężki, ale zbliżała się noc. Beznadzieja nieudałego pojednania się przez łzy, tam „u dzieci”, rozcieńczała się w gorącym, czerwonym wrzasku nowej nadziei, ochoty do innego pojednania. Pastor Hubina pisał kiedyś do żony dalekiej – w tych ubiegłych pustych tygodniach i miesiącach – że już tylko starzeć się pragnie, bez żądz, bez namiętności, byle razem, byle w ciszy... Niekłamliwie pisał; pragnął, żeby tak było – nie inaczej; niczego innego – tak przynajmniej niekiedy zdawało mu się, nad tą mogiłą katastrofalną – nie chciał; ale teraz oto – wobec tej od dawna niewidzianej

kobiety – zawsze smukłej, zawsze białej, wdarło się znieńcka, bezwstydnie i zuchwale, wszystko, co się półskrycie utaiło w zanadrach cielesnych, ułękło przed Straszliwym. Ale śmierć nie lubi być majestatyczna – ona nie lubi, by ją czczono i pamiętano o niej! Popod woalami żałoby najsroższym wałą tętnem dzikie bezwstydy. Pastor Hubina przykładał gorące czoło do zimnych szyb.

* * *

Wsparty głęboko o jej wnętrzości, westchnieniem oddennym męskiej piersi wzdymał się wysoko ponad łożę małżeńskie, modlił się strzeliście: „O Panie, daj, niech mi się ta dusza roztworzy szeroko jak to ciało drogie, roztworzyste, niech już nie będzie tajemnic!...”

Nie wstydził się Boga, z modlitwą w tym momencie. I wtedy przeszedł od tej modlitwy do westchnienia o nowe dziecko. Po raz pierwszy od zgonu tamtych – tak bezsilnych i bezbronnych tam pod ziemią – pragnienie nie tylko nowej rozkoszy, lecz i nowego życia, nie zdało mu się czymś wobec tamtych nieczułym. Cóż?! Bóg dał, Bóg wziął, życie ma swoje prawa, żałoba nas rozdzieliła, może kolebka nas pojedna – leciały mu pędem przez skroń gorejącą myśli i chcenia.

Wtem zdziwił się; nagle uczuł się szarpnięty gwałtownie. Oderwał się, zapalił świecę. W półmroku wglądał w twarz żony: twarz niema, powiekami

przykryta. Hedyta obróciła się ku ścianie, okryła się z głową.

Siedział w łóżku, wpatrzony w oranżową tęczkę świecy; niekiedy odzywał się budzik tykotaniem wartkim – i zamilkał; ile minęło minut od chwili, w której dał sobie słowo, słowo rozpaczy i ambicji, do chwili, w której dotrzymać sobie tego słowa okazało się zamiarem ponad siły?... Nachylił się nad nieruchomą: „Hedyt, Hedyt...” Milczenie. Z nagłą znalazł siebie wewnątrz płomienistego leju, rozszalały gniewem pożądania i rozpaczy; zrywając okrycie szeptał zaciekle: „Musisz... nie wolno ci... masz obowiązek...”

– Ach, dajże mi święty spokój, całą noc jechałam, zmęczona jestem...

Zgasł jak zdmuchnięta świeca. Siedząc w ciemności, słysząc blisko jej oddech równego i spokojnego snu zrozumiał w tej ciemności wszystko. To szarpnięcie brutalne, tę mogiłę niepotrzebną, te róże żółte i purpurowe, tę kipieli gorącą owej kąpieli w złowrogi czwartek... Teraz wszystko już było jasne – jak zgon. Już nie ma na co czekać. Chyba jeszcze na nowe wstydy, nowe bezwstydy pieszczot nie oddanych, błagań zawodnych, odepchniętych z obojętnym grymasem, nowe bezwstydy i męki żądź nienasyconych, modlitw bezsilnych... Doczekał bezsenny świtu; kiedy przez szczelinę okiennicy brzask począł przeciekać, wstał po cichu i nie oglądając się na śpiącą zeszedł do pracowni na dole. Niósł siebie jakby niósł trumnę. Przez cały dzień ważył w sobie postanowienie. Nadchodził nowy wieczór; trzeba było decydować się; pod wieczór

straszliwym porywem wolności obnażyło się w nim nieodwołalne Nigdy: „T a k, n i g d y”. Odcinał sobie drogę do nocnej samotności we dwoje.

Przeczuwając coś niedobrego między państwem – z milczącą powagą zaleknionej i zgorszonej służby – stara Dominika z młodą Hanką, w izdebce bibliotecznej obok pracowni, rozstawiały i słały jakieś rezerwowe żelazne łóżko.

Minęła druga noc od przyjazdu Hedyty; im więcej tych nocy mijało, tym wyraziściej – poprzez ściany, poprzez powały – widział ją, jak tam leży, na pościeli szerokim, na dwoje obliczonym, w białej pościeli biała, w długim łożu podłużna, szczupła a miękka, zawsze ta sama, zawsze młoda... Widział ją w swym szerokoramiennym objęciu, słyszał jakby tuż przy sobie jej oddechy, oddechy dawnych lat... Och ty, ty przekłeta, ty przesłodka...

„O Panie, Panie Wszechmocny, ulituj się nad moim wstydem!...”

II

W tydzień przyjechał ten von Kschitzky; ujrawszy jego dystyngowaną sylwetę - - szczupłą w szerokich kratkach angielskiego sukna, jasną twarz, pociągłą i delikatnie rzeźbioną, płowo-złociste włosy, jak na artystę przystało – sfalowane i nieco przydługie, niemniej jednak z widoczną starannością pielęgnowane – pastor Hubina pomyślał, że on i Hedyta to „ludzie jednej rasy”. Nawet w chłodno-stalowych oczach

Kschitzkyego załśnił niekiedy – przy jakimś oświetleniu – ten sam, co u niej, złocisto-szmaragdowy ognek.

Nauczyciel muzyki zabrał się skoro i chętnie do lekcji z Olesią, a pełen respektu dla obojga pracodawców, uprzejmy dla wszystkich domowników, okazał się – zwłaszcza teraz, w oschłej martwocie tego domu – towarzyszem pożądanym. Z Hubiną rozmawiali wiele i żywo; pastor nie przyznawał sobie żadnego prawa do niechęci ku przybyszowi. Jedno było trochę przykre: Hedyt rozmawiała z nim po niemiecku; pastor – mając na względzie jego nazwisko – próbował rozmówić się po polsku; von Kschitzky po polsku umiał, ale mówił polszczyzną wysiloną, sztywną i bezdźwięczną, nie zawsze poprawną. Ostatecznie więc niemczyzna zapanowała przy stole i przy wieczornych herbatach w salonie, przeplatanych muzyką i śpiewem Hedyty.

*Ich weiss nicht was soli es bedeuten,
Dass ich so traurig bin?...
Ein Lied aus uralten Zeiten,
Das kommt mir nicht aus dem Sinn...*

Hedyt śpiewała swoim głębokim, soczystym altem, Kschitzky akompaniował. To była ta łatwiejsza muzyka, którą i pastor zdolen był zrozumieć.

Hubina schodził na dół do siebie, zaświecał lampę w pracowni, zabierał się do roboty, ale myśl jego śledziła za czym innym; usiłował siebie przeniknąć.

Dlaczego właściwie jestem tak okropnie upokorzony?... Próbował przychwycić racjonalny powód tego upokorzenia, ręką go przykryć – ale ten się wymykał jego wiedzy jak natrętny a nieuchwytny pasożyt.

Nie, pastor Hubina nie zauważył nic, co by mogło być powodem czy pretekstem niechęci do nauczyciela muzyki; jedynie ta niemczyzna, którą on wniósł do domu – mimo swego polskiego nazwiska – była dosyć nieznośna, a w tej pisowni owego nazwiska było coś fałszywego. Aż raz, kiedy się już nieco spoufalili, pastor zagadnął: „Czemu pan swoje nazwisko pisze z niemiecka? I czemu łatwiej panu mówić po niemiecku niż po polsku?”. Okazało się, że matka Kschitzkiego nie jest Polką, że rodzice jego od dawna nie współżyją, że on szkoły i studia odbył w Niemczech, że wprawdzie odwiedza niekiedy polskich krewnych, ale Polskę zna tylko jakby z brzegu.

Skoro tak, wszystko w porządku – myślał Hubina. Kschitzky dodał:

– Ale nie jestem bez zainteresowania dla Polski, nie tyle zresztą Polska mnie interesuje, w sensie kultury, bo właściwie nie bardzo mi wiadomo, może się mylę, co Polska dała światu poza Chopinem i Kopernikiem, którzy zresztą obaj są co do pochodzenia nader wątpliwymi Polakami... ile polska rasa szlachecka... mam swój maleńki snobizm na tym punkcie... nie mam powodu być mniej snobem niż Nietzsche, nieprawdaż?... – uśmiechnął się z lekka.

– Krew znaczy, od krwi się nie odchodzi – odezwała się Hedyta.

– Niekoniecznie – sprzeciwił się Kschitzky – od krwi się nie odchodzi, kiedy to jest krew potężna; od krwi słabej chętnie by się odeszło, gdyby można było... Zresztą, co do mnie, to nie przywiązuję wagi do tych rzeczy. Tak czy owak, tu czy tam, ja zawsze będę jedyny – i samotny...

– *Der Einzige, der Einsame* – przywodziła echem pastorowa.

– Czemuż to pan ma być zawsze samotny? – spytał Hubina.

– Podobno uczą teologowie, że każdy anioł jest rodzajem dla siebie; ja się nie bardzo znam na aniołach, ale znam się na sobie; otóż wiadomo mi, że drugiego takiego jak ja nie ma nigdzie; po prostu dlatego, że ja jestem Ja, który jestem; coś, co jest na samym początku wszystkiego; a wszystko inne, wszyscy inni to są moje widma, moje myśli; ale moje myśli to już nie ja, to już coś obcego; ja jestem stwórcą tych myśli i dlatego jestem samotny pośród świata, jak samotny jest Wszchemogący Pan Bóg między swymi kreaturami...

– Człowiek nigdy nie jest samotny – mówił Hubina – tym bardziej Bóg...

Hedyta spojrzała nań uważnie; Kschitzky:

– Pan jest konsekwentnym wyznawcą swego światopoglądu, nieprawdaż?...

– Człowiek nigdy nie jest samotny – upierał się pastor Hubina.

– Czy sam w to wierzysz?... – Hedyt zaśmiała się krótko.

Hubinie zdało się, że oni się porozumieli oczyma, ale nie był tego pewien.

– Póki wierzę, że nie jestem samotny, nie jestem samotny...

– Jak dzieci wierzą w dobre wróżki i już się nie boją – replikowała nieco niecierpliwie.

Zamyślili się wszyscy troje. Hedyt ozwała się pierwsza:

– Sama jestem „córeczką pastora” – obaj mężczyźni spoglądali na nią nie bez zadowolenia – ale nie znoszę tego wszystkiego, nie znoszę...

– Wiadomo mi o tym – warknął Hubina.

Kschitzky, który słuchał z obliczem niewzruszonym, nie omieszkał interweniować:

– Sądzę, łaskawa pani, że światopogląd chrześcijański nie zasługuje na nienawiść; dopóki jest pewnym typom psychicznym potrzebny, dopóty jest tak samo racjonalny jak wszystko, co jest *de facto* ludziom potrzebne do życia; skoro zaś chrystianizm jest faktem bądź co bądź rozpowszechnionym, widocznie więc...

Pastor przerwał mu:

– Nie idzie o fakty, tylko o prawdę!

– Co jest prawda?... zamyśliła się Hedyt.

– Wybacz, Hedyto, ale to twoje zapytanie wydaje mi się dosyć nieszczerze: ty dobrze wiesz, co jest prawda...

– No proszę, powiedz mi, co ja wiem...

– Wiesz, że tylko to jest prawda, co jest dobre, szlachetne...

– I dodaj jeszcze: piękne... Słyszałam to jeszcze w szkole...

Kschwitzky znowu interweniował:

– Ja jestem w lepszej sytuacji niż szanowni państwo, bo ja tę kwestię prawdy itp. zrzuciłem z siebie razem z gimnazjalnym mundurem.

– Dość wcześnie...

– Tak, panie pastarze, dość wcześnie przestałem być dziecinny; gdyby jednak panu zależało na tym, abym się w kwestii prawdy oświadczył, to gotów jestem złożyć deklarację.

– ?

– Prawda to ja.

– Pan?...

Tym razem oboje pastarostwo zdziwili się.

– Tak, ja. Adalbert von Kschwitzky, dyplomowany pianista i magister muzykologii, podporucznik rezerwy w siódmym pułku ciężkiej artylerii; ja jestem prawda.

– Dodaj pan jeszcze: i żywot...

– Dobrze powiedziane: Jam jest prawda i życie; ja, który nic innego nie jestem tylko życie, który żyję, więc jestem, który nie znam nic innego, tylko moje własne życie, którym wyzbył się dziecinnych chętek, żeby być czymś innym niż ja... tak jakby można było stać się czymś innym niż tym, czym się de facto jest... O ile państwu zależy na nieśmiałym zdaniu nauczyciela muzyki, to to jest moja tak zwana prawda.

– Jest pan częścią życia?...

– Nie jestem żadną częścią; ja jestem całe Życie.

– Nie rozumiem pana; jeżeli pan jest całym Życiem, to czymże jestem ja, czym żona, czym my wszyscy?

– Niech mi pan udowodni, że nie ja, ale pan jest całym Życiem – to uwierzę panu, że całe Życie to pan, a nie ja.

– Jak?... Może zresztą nietrudno to udowodnić; prosta logika...

– Tylko nie z logiką, panie pastorze! Z tym daleko pan nie zajedzie; zresztą panią pastorową na pewno nudzą logiczne wywody...

– Nie pomylił się pan, panie Waldemarze...

– ...ale podam panu, jeśli pan pozwoli, inny, o wiele łatwiejszy i jak na mój gust –bardziej ponętny dowód na to, że to nie ja, ale pan...

– ?

– Niech mnie pan unicestwi.

– ?... – zdziwili się oboje.

– Jak? Oto tak: niech pan ze mną zrobi, co się panu żywnie podoba; niech mnie pan obróci w swoją część, niech mnie pan strawi itd., itd. – von Kschitzky zaśmiał się nadspodziewanie rubasznie.

– Znowu nie rozumiem pana; raz powiada pan, że niby to wszystko dokoła nas to nasze myśli, a raz proponuje mi pan, żebym pana zjadł jak pasztet...

Hedyt zaśmiała się; v. Kschitzky zniecierpliwił się nieco:

– Może pan, panie pastorze, wiele jeszcze rzeczy dopiero zrozumie?... Ale to, co mówię, nie takie bardzo trudne do pojęcia: czy pan mnie, czy ja pana unicestwię jako moją myśl – tak jak się w sobie unicestwia

nieznośne natrętne wyobrażenia – lub czy pan mnie, czy ja pana strawię jako mój pasztet i...

– ...A niechże pan da spokój, panie Adalbert, gotów nas pan wszystkich pozjadać...

– Panią, łaskawa pani, nie jak pasztet..

– ?

– Jak renklodę – odciął się Kschitzky i obrócił się do pastora – otóż w każdym razie kwestia, mniejsza o słowa, sprowadza się do tego: kto będzie całością, kto tamtego częścią; kto będzie miał, kto będzie miany; kto będzie panem, kto jego rzeczą?... *That is the question: mieć albo nie mieć?!...* Ty mnie, czy ja ciebie? Dopóki ty nie jesteś moim, dopóty opierasz mi się i dopóty jesteś rzeczywisty; a dopóki ty jesteś rzeczywisty, dopóty ja jeszcze nie jestem naprawdę rzeczywisty, nie jestem jeszcze całym życiem, całym i jedynym, dopóki ty żyjesz własnym życiem, bo wtedy żyjesz przeciwko mnie, a dopóki ktoś żyje przeciwko mnie, dopóty ja jeszcze nie żyję tak jak mi się podoba, moim pełnym życiem, które ma, a nie jest miane; dopóki ty jeszcze jesteś i masz, dopóty jeszcze ja nie mam wszystkiego, co mi się należy, i nie jestem wszystkim, czym mógłbym być, czym mogę być, czym być mam prawo być, jeżeli mogę!.. Ja żyję i chcę być, i chcę mieć, wszystko mieć jako przewyciężony przeze mnie opór przeciwko mnie, jako moją własną poddaną mi myśl czy strawę, czy materiał mojej, mojej własnej rzeczywistości, mojego Ja, które jest wszystkim i jedynym, co ja naprawdę znam – ogniki błyskały w oczach von Kschitzky'ego.

– Pan chce wszystko mieć, ażeby być wszystkim, we wszystkim? –pytał pastor.

– Nie wiem, czy ja dobrze rozumiem tę waszą filozofię, ale mnie się tak wydaje, że gdyby naprawdę wszystko człowiek miał w sobie i już nic innego nie było, tylko on sam, nic oprócz pana, to byłby pan strasznie samotny...

– Wcale nie zależy mi na tym, ażeby być wszystkim i we wszystkim, to dobre dla buddystów; ja chcę mieć wszystko, rozumiecie państwo: żeby nie mieć nic poza sobą, ażeby nie było nic takiego, co mi stawia opór przeze mnie nie przewyciężony, co by się ośmieliło mieć swoje własne prawo przeciw mojemu prawu, swoją własną rzeczywistość przeciwko mojej rzeczywistości, swoją własną moc i rację bytu przeciw mojej mocy i racji bytu, i rzeczywistości, i prawu – to wszystko jedno jest. A co do samotności, to, łaskawa pani, wierz mi, że ja się samotności nie boję, zostawiam te strachy dzieciom i starym pannom, i tak zwanym chrześcijanom; tym lepiej mi jest, im samotniejszy jestem.

– ?

– Tak, bo być samotnym to być wolnym jak ptak, jak zwierz w dżungli; być swobodnym od sentymentalizmu, od blagi humanitarnej, na której tylko żerują rozmaite sprytne typki, ażeby, korzystając z mej słabości, wkraść się we mnie, do mojego tak zwanego serca, wszachrować i wszmuglować, wkręcić i wcisnąć w moje tak zwane sumienie, jak bakcyl, w otwartą ranę, i zakazić mnie, i zjeść mnie od środka. Nie dam się ja

podejść rozmaitym szulmajstrom i filantropom! Dobrze powiedział Stirner, *lohnsuchtig ist der Mensch und «umsonst» tut er nichts*. Chciwość na chciwość, tak!

– Czyżby i pan był chciwy?... Fe... – polskim „fe”, nie po niemiecku „pfui”, zgaśniła żartobliwie pastorowa.

– Tak, pani, jestem chciwy i pragnę mieć wszystko, co mi się podoba; chciwy jestem i bynajmniej się tego nie żenuję, nie wypieram się, że chcę być bogaty...

– Niech się pan dobrze ożeni.

– Z córką fabrykanta Niemca, nieprawdaż panie pastorze?... Czemuż by nie? Jestem i chcę być *bourgeois*, gwizdam na ideologów, nie mam ochoty żyć w psiej budzie ani w beczce; pretensji filozoficznych, czy jakich tam innych „wzniosłych”, nie mam bynajmniej; chcę po prostu żyć i wyżyć się całkowicie, i wszystko mi będzie dobre, co mi do tego posłuży. Jestem ściśle rzeczowy człowiek i z przesadami *aus!*...

– Obawiam się, że pana, jako młodego człowieka, trochę ponosi zapał do paradoksu i pan troszkę szarżuje – mitygował Hubina – przecież pan jako porządny człowiek...

Demoniczne ogniki przygasły; von Kschitzky wyprostował się w krześle i zapewnił poważnie:

– Nie robię nic, co jest policyjnie zakazane.

Pastor Hubina i jego żona mimo woli parsknęli krótkim śmiechem.

Kschitzky zmieszał się; zachmurzył się ciemnym rumieńcem gniewu.

– Jestem porządny człowiek i stosuję się do policyjnych rozporządzeń, ale z tymi, co mi w drogę

wchodzą, potrafię tak robić o, tak! – gniótł w popielniczce ledwo zapalony papieros.

– Ostatecznie więc wszystko kończy się i stoi na policji?...

– Panu, jako Polakowi, nie podoba się żadna policja, bo Polacy nie pakują do aresztu, ale Polaków pakuje się do aresztu; kto nie ma własnej woli i mocy, ten się mści na cudzej woli i mocy obłudą, zakłamanym lekceważeniem; ale to jest *Ressentiment*, to jest *Gemeinheit*, chamstwo – dodał po polsku.

– My co innego rozumiemy przez chamstwo – podniósł głos Hubina – my...

– Panowie, jeszcze raz herbaty, dobrze?... – Hedyta zerwała się do stolika z czajnikiem; patrzyli jak się krząta, wyniosła i złocista, w oparach dymiącego napoju.

– Ostatecznie wszystko kończy się i zaczyna – mówił von Kschitzky już chłodno, uprzejmym gestem traktując pastorostwo ze srebrnej papierośnicy – wszystko kończy się i zaczyna od woli; życie to jest wola, to są, dokładniej się wyraziwszy, autonomiczne centra woli, a wola ze swojej natury, z istoty swojej jest dynamiczna, rozprężliwa, usiłuje rozszerzyć się i zagarnąć wszystko poza sobą, inaczej cierpi piekielnie; to jest właśnie piekło: nienasycenie woli obezwładnionej przez inną wolę... Każda wola pragnie być wszechmocna, każdy centr woli – Bogiem.

– Więc wojna bogów? Wojna wszystkich ze wszystkimi?

– Tak jest i faktycznie nie inaczej przedstawia się świat. Nieprawdaż? Ale my na to nie żalimy się!

– Kto „my”?

– My młodzi, my ludzie prawdziwie nowożytni.

Pastorostwo zamyślili się; Hedyt wsparła głowę na giętkich dłoniach, przejrzystych i gładkich; pastor skubał brodę i wąsy.

– A miłość?... – odezwał się nieśmiało Hubina sam się dziwiąc swej nieśmiałości.

– Sprawdza się – zaśmiał się Kschitzky. – Wiedziałem, że pan jako zawodowiec tak spyta!...

– I ja przeczuwałam, że się o to zapytasz – szepnęła Hedyt muskając z lekka dłonią rękę męża.

On zdumiał się. Natrętny, nieznośny, niespodziewany rumieniec rozgrzał mu skronie i czoło. Niezręcznie pochylił się nad herbatą. Podniósł oczy ku żonie. Przypatrywała mu się bacznie. Przypomniawszy sobie z dawnych – jakże dawnych! – lat, że te oczy piękne i dumne bywały kiedyś czułe i dobre. „Wszystko jeszcze może być!” – leciało mu przez myśl błyskawica, z jakiegoś wiersza, który lubił.

I wraz coś się fizycznie odezwało w sercu; ale przykro, ale niespokojnie, ale ciężko; jakiś lęk czy wstyd, czy jakby wyrzut sumienia?... Powściągnął wzruszenie i zakłopotanie.

* * *

– A miłość?... pytał pastor Hubina.

– O jaką miłość pyta pan, panie pastorze, czy, jako zawodowiec, o tę tak zwaną chrześcijańską, czy o tę zwykłą, o jakiej my myślimy, laicy; zwykli zjadacze chleba, jak się to tam u was mówi po polsku?

– Pytam nie jako zawodowiec, jak się pan raczył wyrazić, ale jako zwykły człowiek, który nie jest kaleką i nosi między zebrami serce. A po wtóre, ja tu nie widzę żadnej sprzeczności, owszem...

– Panie pastorze, czy chciałby pan być kochany po chrześcijańsku?

– ?

– No, tak jak są przez dobrych chrześcijan kochani idioci, matoly, trędowaci, dziady, łapserdaki i w ogóle wszelka hołota ludzka?...

Hedyt roześmiała się głośno, cofając się wygodnie w głąb fotela; pastor zmarszczył brwi; Kschitzky – nachylony ku nim – perswadował swoim łagodnym tenorem:

– Czy pan chciałby być kochany ze współczucia, z litości, z obowiązku ?

Pastor milczał. Kschitzky nalegał:

– Czy, jednym słowem, chciałby pan być kochany miłością altruistyczną, jaka się wedle chrześcijaństwa należy wszystkim ludziom, każdemu brzydakowi, każdemu przeciętnikowi i zdechlakowi?... Czy raczej nie wolałby pan być kochany miłością egoistyczną?...

– ?

– Tak, proszę państwa, najlepszą z miłości, nie tą, która powiada : „Kocham cię, bom powinien cię kochać”, ale tą, która mówi: „Kocham cię, bo mi się

podobasz, bo mi z tobą przyjemnie, bo mam w tobie smak, bo ty, właśnie ty, dajesz mi najlepszą rozkosz, bo masz w sobie powab szczególny i niezastąpiony, przynajmniej dla mnie. To jest chyba smaczniejsza i przyjemniejsza, i dla osoby kochanej zaszczytniejsza miłość, ta miłość – osobista, prywatna, intymna, egoistyczna; ta miłość, która ukochanego wybiera i daje mu szczególny przywilej, która go pasuje na arystokratę czy arystokratkę miłości, boga czy boginię piękności, powabu, wdzięku, pożądania, mocy, zdrowia, jakiejś żywotnej potęgi – niż ta miłość demokratyczna, błada, powszechna, która ci się tylko dlatego należy, że się każdemu i komu bądź, nieprawdaż?...

– Chyba tak... szepnęła Hedyta.

Pastor namyślał się.

– „Kocham cię, bo mi się podobasz” mówi do kochanki szczerzy i rzetelny egoista. „Kocham cię, bo jesteś smaczna, smaczna w każdym atomie twego pięknego ciała, w każdym tonie twego głosu, w każdym ruchu twej postaci, w każdym spojrzeniu twoich znaczących oczu – i tylko dlatego cię kocham”, a niezakłamaną egoistką mówi do mężczyzny, którego kocha: „Kocham cię, bo jesteś potężny, bo mi imponujesz, bo dajesz mi szaty, których pragnę całą moją naturą, bo dajesz mi zabawę, najlepszą zabawę mojego życia”. Tak sobie wzajem powiadają moralnie odważni i fizycznie zdrowi egoiści, bez udawania, że miłość to coś innego niż pragnienie przyjemności i rozkoszy. I tym się wzajemnie uszczęśliwiają, nieprawdaż?...

Hedyta, po chwili milczenia:

– Niebezpieczna miłość: egoistyczna...

– Dlaczego?

– Łatwo o zdradę...

– Co pani rozumie przez zdradę?

– To, co wszyscy: niewierność...

– A przez wierność rozumie pani także to, co wszyscy? „Kocham cię, choć cię już nie kocham; trzymam się ciebie z obowiązku, choć się już nudzę przy tobie; obejmuję cię i pieszczę, i wymuszam na sobie czułości – choć mam pod powiekami wizję kogoś innego”... Trzeba być prawdziwym pauprem, ostatnim obdartusem moralnym, pospolitym lumpem, ażeby się zgodzić na taki chleb żebraczy! Żadna prawdziwie ambitna kochanka ani żaden prawdziwie ambitny mężczyzna nie zgodzą się być kochani taką miłością wierną, z litości, z powinności, nieprawdaż?...

– No, więc lepiej nie ryzykować...

– Nie ryzykować miłości z egoistą? Można i tak, ale to znaczy nigdy się nie wyżyć; zawsze wiedzieć, że prawdziwe życie erotyczne gdzieś tam tętni i huczy swoim huraganem, a ja go nie znam... Tak, tylko ten, kto sam w miłości szuka nie czego innego, tylko własnego egoistycznego wyżycia się, tylko ten da drugiemu wyżyć się...

– ?

– Tak, bo taki tylko naprawdę ceni miłość, nie lekceważy sobie miłości, zna się na miłości, nie traktuje miłości jako czegoś grzesznego lub ,w najlepszym wypadku, jako automatyczną funkcję fizjologiczno-

socjalną. Tylko taki egoistyczny lekkomyślnik, taki motyl umie naprawdę ssać miody z kwiatów i wielbić kwiaty za ich miód, a kwiaty nie pragną niczego innego: dowiadywać się, że są słodkie, głęboko i nieporównanie słodkie...

Von Kschitzky zamilkł; zapalił znowu, wpatrywał się w dym. Milczeli wszyscy troje. W końcu Hedyta, żeby coś powiedzieć:

– *Das ewig Weibliche zieht uns hinan...*

– Nie pani, bo to, co jest *ewig weibliche*, jest w najwyższym stopniu niezajmujące w perspektywie miłości, o jakiej mowa: *amore terraestre*. Cóż to jest wieczna kobiecość? To jest macierzyństwo, rodzenie, karmienie, wycieranie nosów dzieciom, rozdętość tułowia i biustu...

– Czy nie wyobraża sobie pan, że można kochać kobietę-matkę. matkę swoich dzieci i to właśnie tą miłością, która jest i ziemską, i zarazem niebieską, powiedzmy po prostu: chrześcijańska; miłością, która nie tylko jest *de facto*, lecz i pragnie być, i trwać, i sama siebie uznaje za powinność, ale za powinność błogą i lekką? Kto naprawdę kocha, nie egoistycznie, temu jarzmo i brzemię miłości nie jest zaprawdę ciężkie... – odezwał się wreszcie Hubina.

– Przyznam się, że jako młody i nie żonaty nie znam się na miłości małżeńskiej. Ale pytam: jeżeli miłość małżeńska ma być tak błoga i lekka, to czemuż tyle tak zwanej zdrady małżeńskiej naokoło?...

– W świecie burżuazyjnym, u ludu...

– Lud jest masą bez indywidualności.

– Lud jest zdrowy.

– A burżuazja zepsuta, znamy to! Panie pastorze, tak zwane zepsucie burżuazji, to nie co innego, tylko komplikacja psychiczna, zróżnicowanie, zindywidualizowanie, wykryształizowanie się, żeby tak powiedzieć, świadomych siebie osobowości, świadomych swojej własnej niewymienności i jedyności, znających swoje najintymniejsze a skomplikowane i najczęściej wewnętrznie sprzeczne intencje – co jest możliwe tylko w warstwie wykształconej i zamożnej, i mającej czas na to, ażeby zastanawiać się nad sobą i żeby żyć własnym swobodnym życiem, życiem zabawy, nie zaś, jak wół roboczy, tylko pracą, no i fizjologią... Miłość ludowa to fizjologia, a już panowie duchowni wszystkich wyznań starają się o to, żeby tę fizjologię społecznie uregulować...

– Czy nie dopuszcza pan, żeby i ludzie prości kochając się kierowali się estetyką, zgodnością charakterów?

– Jeśli tak, to rozumiem, dlaczego i u ludu zdarzają się tak zwane tragedie małżeńskie, które nie z czego innego wynikają, tylko z tego, że ludzie mniej więcej świadomi, czego im *de facto* potrzeba do szczęścia po prostu szukają, odważają się szukać tego szczęścia, którego im małżeńska fizjologia dostarczyć nie może. Bo miłość, proszę państwa, to nie jest fizjologia!

– Nic nowego!

– Nic nowego, tylko że żaden kaznodzieja wniosków stąd nie wyprowadza: „Szukajcie szczęścia,

takiego i jedyne szczęścia, w którym się naprawdę i jedynie wreszcie wyżyjecie!”

– Wciąż szukać i szukać?...

– Ależ tak, tak, łaskawa pani, wszak nie kto inny, tylko teologowie zapewniają, że szczęścia prawdziwego tutaj znaleźć nie można, że wszystko zawodzi i w końcu nudzi. Nikt tak jak katolicycy ojcowie nie uczy o nienasyceniu woli, *inquietum cor...*

– Póki w Bogu nie spocznie...

– *Requiescat in pace!* Nie byłby pan duchownym, choćby protestanckim, gdyby pan szczęścia nie obiecywał na tamtym świecie. Co do mnie, nie spodziewam się go ani tam, ani tu.

– Po cóż więc szukać?!

– Szukajcie, a nie znajdziecie! Szukajcie, a nie znajdujcie! Zużywać się w poszukiwaniu, spalać się na popiół, odżywać jak ten znany Feniks z popiołu i znowu ruszać w wieczną pielgrzymkę, i znowu nie znajdywać, pić z fontann pożądania i upijać się, i znowu łaknąć i pragnąć, bez końca... Jeżeli już ma być mowa o jakimś „szczęściu”, to jest właśnie szczęście... Ale naiwni tego nie pojmą.

– Przekładając pańską poetyczną filozofię na prozę praktyki, wypadnie zwykła donżuaneria.

– A choćby i tak?... Tak zwany donżuan to mężczyzna wyborowy, wyborowy miłośnik, miłośnik, żebym użył tego wyrażenia, uduchowiony, któremu fizjologia nie wystarcza, bo gdyby mu na fizjologii zależało w jego nienasyconych wędrówkach i walkach, to by się na takie męki wciąż nowe, na tyle

niebezpieczeństw i ofiar nie narażał, wystarczyłaby mu pierwsza lepsza... Ale pierwsza lepsza rzetelnemu donżuanowi nie wystarcza bynajmniej, jemu wcale nie zależy na kobiecie jako okazie gatunku, na tym, co w kobiecie jest *allgemein* – *das Allgemeine ist gemein*, jemu zależy na tym i tylko na tym, co w niej jest jedyne i bez porównania, a to jest jej psychika, *nota bene* nie jakaś psychika abstrakcyjna, jakaś tam „istota duszy”, tylko jej psychika rzeczywista od ciała nieodrywalna, w ciele osadzona, ciałem wyrażająca się, w jego szczególnym wdzięku, geście, wyrazie oczu, grze fizjonomii; i prawdziwy, powiadam, rzetelny donżuan czyha, jak się to mówi, na cnotę takich tylko wyborowych, zindywidualizowanych kobiet, to jest motyl umęczony, nienasycony, ale motyl, który nie z bądź jakich pospolitych polnych kwiatów miód wysysa, ale tylko z kwiatów królewskich... I kobiety typu królewskiego umieją to odczuć i ocenić.

Zuchwałym, tryumfującym wzrokiem patrzył na kobietę, zionął w nią swoimi szmaragdowe ognistymi ognikami. A ona?... Hubina nadaremno usiłował wyczytać tajemnicę twarzy białej, zadumanych oczu.

I von Kschitzky zamyślił się melancholijnie.

– Zresztą, cóż ja wiem, *que sais je!*... Może i typ donżuański potrafi, jak to mówią, „przywiązać się”, jeśli akurat przypadkiem natrafi kiedyś losem, jak się wygrywa terno, na swój jakby już ostateczny typ, typ, który ze swej strony za takim właśnie jak on tęskni i wtedy tryska wspaniała egoistyczna miłość, nie dbająca o cały świat, która bez żadnych zobowiązań oficjalnych

ni moralnych trwa, trwa po prostu dlatego i tylko dlatego, że jest obopólnie rozkoszna...

Mówił przyciszonym, matowym głosem:

– ...*Die Welt ist tief – tiefer als der Tag gedacht – tief ist ihr Weh – Lust noch tiefer als Herzeleid – Weh spricht: Vergeh – doch alle Lust will Ewigkeit – will tiefe, tiefe Ewigkeit...*

– No, więc jednak wieczność...

– Ziemska, panie pastorze!

– Żłudna, zawodna, między dwiema nicościami...

– *Ich hab' meine Sache auf Nichts gestellt!*...

Godzę się na nicość, bylebym między dwiema nicościami sycił moje nienasycenie...

Cisza, która zapadła, była pastorowi przykra, jakby mętna i gęsta od czyjejś nieczystej obecności. Poruszył się w sobie, zaszemrał i zachrapał staroświecki zegar ścienny i przystąpił systematycznie do wybijania długiej i późnej godziny. Tłumionym echem replikowała godzina kościelnej wieżycy.

* * *

Hubina przypatrywał się spod oka nauczycielowi muzyki. Nie mógł zaprzeczyć, że ten gołowąsy efeb, ten szwab, ten filozofujący filister, ten bezczelny dandys – był piękny. Czoło pięknie sklezione, nos prosty, wąskie, subtelnie uśmiechnięte usta, oczy rozgorzałe i zarazem zamglone jakimś dwuznacznym płomieniem, blada twarz, marmurowo nieubłagana, odbijająca efektownie od jakiegoś purpurowo-złocistego krawata; piękny jest,

na to nie ma rady, to fakt! Siedzieli przy sobie, naprzeciwko niej. Ona, zapaliwszy papierosa, spod powiek przymrużonych czy za mgiełką dymu spoglądała, czy przypatrywała się im?... Hubina wyobrażał sobie siebie przy tamtym, w swoim niskim staroświeckim kołnierzyku, w czarnej krawatce za 20 centów; barczysty, „niedźwiedziowaty” – jak myślał o sobie – czoło ma wprawdzie potężne – wiedział to – ale już łysiejące, broda kędzierzawa, wąsy zawiesziste... Nigdy do tej pory swoim wyglądem nie zajmował się, był zdrowy, mocny, duży, nosił swoją krzepkość naturalnie, nie myśląc o tych błahostkach. Teraz czuł się obrzydłe i śmiesznie poniżony tą nową nagle wyłonioną troską. Pamięć zawodowa przyniosła mu:*Kto nie ma żony, stara się o rzeczy Pańskie jakby się podobał Panu; ale kto się ożenił, stara się o rzeczy tego świata jakby się podobał żonie...* Myślał tak i od razu myślał nieodparcie, nieznośnie (a serce – to fizyczne, mięsiste – odezwało się gwałtownym niepokojem): „Czy ja się jeszcze mogę jej podobać?...” O czym ona myśli? Królowała tam między nimi, nieprzenikniona. Nie mógł oprzeć się podejrzeniu, że tamten ją przenika, że tamten wie, co ona myśli; on zaś nie wie nic, nic, na wieki nic. Im głębsza i bardziej podejrzana zdawała mu się tajemnica jej, tajemnica tych obojga, tym srożej – o hańbo! – żałował swoich przenosin na dół... Jakże piękna była w swoim królewskim, nieubłaganym, okrutnym, podejrzanym, dwuznacznym, nieczystym, przeklętym, milczącym rozkwicie! Zedrzyć z niej ten płaszcz królewski, zedrzyć wszystko! Co się w tym

domu dzieje po nocach, kiedy ja tam na dole?!... Ależ nie, to niemożliwe, to wykluczone – przebiegał szybko myślą całą rozmowę dzisiejszą – nie, kobieta niewierna, już niewierna, tak się nie odzywa jak się ona odzywała; a zresztą – cóż znaczył ten czuły, dobry gest, ta dłoń pieśczeniwa na mojej ręce?... „Wszystko jeszcze może być” -- radosną błyskawicą leciało mu przez mózg... „Wszystko jeszcze może być” – odezwało się posepnym echem... Czemuż by tylko w cudzych domach, nie w moim?... Trzeba raz z tym kończyć, póki czas...

– Czy Olesia robi postępy?

– Gdybym miał być zawodowo interesowny, to bym powiedział, że tak; ponieważ jednak nie mam zwyczaju kłamać bez ważnego powodu, więc powiem, że słabe. Muzykalna jest, owszem, słuch ma bardzo dobry, ale ochoty do muzyki nie znać; jakaś ospała...

– Więc właściwie szkoda kosztów na te lekcje?

– Prawdę powiedziawszy, tak.

Hubina chrząknął; zanim jednak przystąpił do wniosku, wtrąciła się pastorowa:

– Sam mówiłeś, że się w dziecku może coś „rozegra”?... Skąd ta niecierpliwość? Czekałmy.

– Więc czekałmy.

Czekali.

* * *

– Późno już – Hedyt wyprostowała się.

Uściskami dłoni pożegnali się przy drzwiach saloniku wszyscy troje.

Gdy Hubina wniósł lampę do swej małej sypialni, pies leżący przy piecu, nie podnosząc głowy na przednich wyprostowanych łapach wyciągniętej, łypnąwszy tylko jednym ślepiem, powitał go milcząco życzliwym machnięciem ogona.

– Gdyby nie ten pies...

Panie pastorze, pastorze Hubino, kto dał panu prawo do samotności?!...

III

Mijały pory roku, nadchodziła nowa jesień; z początkiem jesieni przyszedł do Hubiny pożegnać się ks. Wątorski, przeniesiony na probostwo w Rogoźnie. Te przenosiny księdza były w związku z wielką aferą Przygórza, która owego roku mieszkańców cichego miasteczka podzieliła na skłócone obozy. Tutaj wspomnieć należy o znanej już nam z poprzedniego opowiadania Kaduloczce. Ta owdowiała zimą, a niebawem już – na wiosnę – prowadzony przez powabną wdowę handel kolonialny i wyszynk napojów spirytusowych uzyskał niedobłą opinię miejsca hulaszczycy zebrań młodych, a niejednokrotnie i starszych, żonaty i dzieciaty mieszkańcy Przygórza; zdarzały się tam bójki i awantury, w których musiał interweniować posterunek c.k. żandarmerii; bodajże i osoba właścicielki sklepu nie była bez znaczenia w tych zajściach; niejedna z małżonek i matek żaliła się, że mąż czy syn wynosi do lokalu Kaduloczki swoje całe zarobki, przesiaduje tam całymi

dniami, a nawet i nocami... Skargi te dochodziły do obu tamtejszych duszpasterzy, aż w końcu ks. Wątorski, jako kompetentny w danym razie – gdyż, jak wiadomo, Kaduloczka była katoliczką – wezwał ją do siebie, perswadował i upominał; prowincjonalna Circe kajała się ze łzami w oczach, ale niebawem, ba! tegoż samego dnia wieczorem w jej sklepie i mieszkaniu odbywało się to samo. Toteż gdy jeden z jej wielbicieli zaprosił ją na matkę chrzestną swego dziecka, ksiądz odmówił jej tej godności; Kaduloczka – obrażona do żywego – wybiegłszy przed kościół, krzycząc na cały głos, obrzuciła księdza najbrzydszymi obelgami, groziła mu: „Poczekaj, kto kogo stąd wysiuda – ty mnie, czy ja ciebie!...” Wiele osób to słyszało.

Zbiegiem okoliczności – a może i nie bez pewnej winy księdza – groźba jej miała się spełnić. Na lato zjechał do Przygórza, z żoną i dziećmi, redaktor znanego dziennika popularnego „Nowa Sensacja Popołudniowa”, p. Szmuckiewicz, który jakoś niedługo wszedł w dobrą komitywę z ładną szynkareczką. I wtedy właśnie, na swoje nieszczęście, ks. Wątorski zawinił nietaktowną surowością czy pedanterią, czy jakimś przesadnym purytanizmem; gdy mianowicie p. Szmuckiewiczowa z córką zamierzały pewnej niedzieli przystąpić do Komunii, ubrane jak do spaceru, lekko i przewiewnie, nie zostały przez księdza dopuszczone do ołtarza. „Nowa Sensacja Popołudniowa” rozpoczęła regularną obławę na księdza; nie było odtąd dnia, ażeby jacyś nieznani – a najrozmaitszymi tajemniczymi literami sygnowani korespondenci – nie żalili się na

„waśnie”, których przyczyną jest proboszcz, na trudności, które on stawia wiernym pragnącym brać udział w obrzędach i sakramentach; były nawet jakby niewinne podejrzenia o herezję i obłąd... Pastor Hubina dyskretnie zarzucił swemu przyjacielowi katolickiemu zbytnią w owym wypadku surowość; Wątorski tłumaczył się przepisami kanonicznymi, które odmawiają „niewiastom nieprzystojnie odzianym” udziału w obrzędach Kościoła; jakkolwiek bądź, ksiądz nie zasługiwał chyba na srogą karę, jaka go miała spotkać, a tryumfem napęłnić obóz nie tylko Kaduloczki, lecz i – zdawałoby się – przeciwny tamtemu, obóz notorycznych bigotek nie mogących księdzu wybaczyć, iż zbyt dokładnie bierze takie drobnostki, jak obowiązek naprawienia krzywdy, zanim się uzyska absolicję itp.; otóż więc, wpływy redakcji „N.S.P.” okazały się tak dalekosiężne, że w skutku owych zajęć ks. Wątorski został z Przygórza usunięty. Do smutku i przykrości, z jakimi wyjeżdżał, dołączyło się i to, że zamieniał korzystny dla swoich niezbyt zdrowych płuc klimat Przygórza na powietrze Rogoźna, miejscowości fabrycznej i nizinnej...

Wątorski obiecywał niezadługo zjawić się w Przygórzu, żeby zabrać książki, rzeczy. – – Teraz chciałbym jak najprędzej stąd zniknąć... Ale wy jakoś mizernie wyglądacie...

- Serce mi nie dopisuje...
- Trzymajcie się!
- Trzymajcie się i wy.

W przeczysty wrześnieowy poranek dworzec kolejowy w Przygórzu był widownią wzruszających scen; wiele osób płakało. Między obecnymi na stacji był i pastor Hubina, który tego dnia zwłókł się z łóżka, w jakim dość już często zalegał.

To było w jesieni, tymczasem jednak jesteście jeszcze z opowiadaniem naszym w znacznie wcześniejszej porze roku, na wiosnę.

IV

– Pan jako wyznawca Nietzschego...

– A panu skąd to do głowy przyszło?!...

Von Kschitzky – początkowo uprzejmy dworak – coraz częściej pozwalał sobie na ton opryskliwy; pastor Hubina – jak to nieraz bywa u pasjonatów, obawiających się, aby reagując na obrazę miary nie przebrali – przyjmował te tony najczęściej cierpliwie.

– Zdawało mi się...

– To się panu tylko zdawało, bo chociaż Nietzschemu my młodzi wiele zawdzięczamy, to jednak Nietzsche jest już przewyciężony. To klerykał, przyczajony klerykał, pastorski synek i wnuczek, który udaje okropnego Kalliklesa, ale nigdy z kompleksu chrześcijańskiego porządnie się nie oczyścił; dla niego Bóg jest zawsze jeszcze „katem”, a dla nas już tylko gratem...

– Panie, niech się pan krępuje, niech pan nie zapomina, czym pan gościem...

– Pan Waldemar jest i moim gościem – dość łagodnie zresztą, wtrąciła się pastorowa.

– Więc cóż...

– A ja lubię słuchać niezacofanych poglądów.

Hubina opanował się; replikował po chwili głucho:

– Religia Boga nie jest zacofaniem.

– Zacofaniem jest wszystko, co przykuwa człowieka do Gotowego.

– W takim razie Nietzsche, bądź co bądź, nie jest zacofany; mimo całego przeciwieństwa idei, wezmę go w tym wypadku w obronę; przecież ideał nadczołowieczeństwa...

– Ideał nadczołowieczeństwa to jeszcze jeden klerykalizm; każdy ideał jest zamaskowanym klerykalizmem. Wszystkie ideały to resztki po Panu Bogu...

– To ołtarze Boga...

– Na których ludzi zarzynają... Każdy ideał oddaje mnie w ręce kasty kaznodziei i szulmajstrów, którzy usiłują wystrugać ze mnie coś gotowego, wedle gotowej normy. I to jest ta sławna miłość chrześcijańska, miłość ludzkości czy proletariatu, czy jak tam, która mnie przytuli pod warunkiem, że jestem grzecznym chłopcem, sztramującym się do ideału... Zawsze coś ponad rzeczywistość; zawsze coś spoza rzeczywistości, z krainy zmyśleń i fikcji, tak jakby coś, czego nie ma, mogło być „lepsze” i „doskonalsze”, skoro już tych słów zacofanych mamy używać, niż to, co *de facto* jest.

– Wciąż słyszę u pana to *de facto*, jakby faktyczność, a nie powinność, miała być decydująca dla

naszego zachowania się; cóż z tego, że teraz jest tak; w przyszłości, jeżeli zechcemy, by inaczej było, może być inaczej, wszystko jeszcze może być... może być o wiele lepiej...

– Tylko proszę mi nie mówić o przyszłości, ani o przeszłości! To są fikcje i widma, ich nie ma *de facto*. Rzeczywiście jest tylko Teraz, jedyne, nieporównane, absolutne, święte, z przeproszeniem pana. Teraz, moje Teraz. I to jest właśnie wstrętne mi i nienawistne w tak zwanych ideałach, że te widma i wampiry, w imię czyjejs tam przeszłości, na rzecz czyjejs tam przyszłości, usiłują wyssać, zniweczyć, ofiarować moje własne terażniejsze życie! *Nur die Lebendigen haben recht*. Nadczłowieczeństwo, Człowieczeństwo, Ludzkość, Ojczyzna, Honor, Prawa Człowieka i Obywatela *etc., etc.*; wszystkie te wielkie litery to chorobliwe maniactwa, kołki w głowie! Pfuj!

– Ależ pan jest oficerem rezerwowym?

– Tak.

– A jak pańska ojczyzna pana powoła, czy pójdzie pan na wojnę?...

– Oczywiście, że pójdę – odpowiedział von Kschitzky z nonszalancją.

– Cóż za logika?!

– A pan chciałby, żebym był logiczny?

– ?

– Logika to jeszcze jeden kołek w głowie. Jeszcze jedna przeszłość czy przyszłość, która ma decydować o moim teraz! Nie poczuwam się bynajmniej do obowiązku konsekwencji.

– Mimo to wie pan z góry, że da się pan zmobilizować; jakże to?...

– Przecież powiadam panu, że nie jestem konsekwentny – zniecierpliwił się Kschitzky.

Pastor Hubina rozłożył ręce bezradnie; żaden wąż leśny nie był tak kręty jak ten partner. Von Kschitzky wpadł w swój łagodny tenor, zmrużył oczy i, wpatrzony w przestrzeń, marzył na głos i filozofował:

– Kto nie był i nigdy nie będzie artylerzystą, ten nigdy nie zrozumie tego, co ja rozumiałem. Czy państwo wyobrażacie sobie, co znaczy bombardować z ciężkiego działa?... Ale strzelać nie jak na ćwiczeniach, do jakiejś starej i pustej szopy nikomu niepotrzebnej, tylko gruchotać rzeczywiste, prawdziwe twierdze, miasta napełnione ludźmi, rzeczywistymi ludźmi? Państwo tego nie zaznacie, nieprawdaż? Trrach – uśmiechał się chłopczykowato – trrach, ja tu sobie manipuluję przy armacie, a tam chatka podnosi się w górę powoli, powoluteńku, niby od niechcienia i prask w dół! Tak samo oto jacyś tam ludzie: taka sobie maleńka *Himmelsfahrt* i prask! Szukaj wiatru w polu. Żaden rzetelny artylerzysta nie wyrzeknie się tej frajdy, żeby zobaczyć swoją maszynę przy prawdziwej robocie. I jaka przepyszna, proszę państwa, symbolika światopoglądowa – zapalał się. – Ciężki granat rozpryska się na milion kawałków, każdy kawałek chce odlecieć jak najdalej od wszystkich innych, pała żądzą ekscentryzmu, a czymże wszechświat, czymże rzeczywistość, czym życie? Wolą ekscentrycznie eksplodującą, nieprawdaż?...

Pastor Hubina już był zrezygnował z dyskusji i polemiki. Hedyta interweniowała:

– Pan chyba nie tylko dla wrażeń...

– Ma pani rację, łaskawa pani, jeżeli dam się zmobilizować chętnie – to nie tylko dlatego, żeby się wyżyć i przeżyć coś, czego żaden cywil niewiniątko nigdy nie zazna, lecz i dlatego że jestem Niemiec i poczuwam się do obowiązku wobec mojej niemieckiej ojczyzny.

Hedyt spojrzała nań z poważnym uznaniem, a von Kschitzky – obrócony ku Hubinie z drwiącym uśmiechem na cienkich wargach – mówił dobitnie:

– Wiem, że się nie podobam panu pastorowi, ale ja nie zamierzam dla czyjejkolwiek satysfakcji być mniej niekonsekwentny, czy bardziej konsekwentny niż *de facto* jestem... Zresztą – mówił coraz mocniej – ja kocham moją niemiecką ojczyznę, jestem wdzięczny mojemu słowiańskiemu ojcu za to i tylko za to, że mi dał niemiecką matkę; aha, i za to jeszcze jestem temu panu wdzięczny, że mnie zostawił przy matce i że dzięki temu dostałem niemieckie wychowanie i niemiecką kulturę... Tak, tak, panie pastorze Hubina, ja mam krew i kulturę narodu, który stworzył najpotężniejsze wartości kulturalne i państwowe, który umiał w swej faustycznej piersi pogodzić najpotężniejsze przeciwieństwa, najpotężniejszy idealizm i najpotężniejszą wolę do niszczenia i przewycięzania. Proszę tylko pomyśleć: Kant i Stirner, Beethoven i Bismarck, któryż naród...

– I ten błazen z wąsami na sztorc – warknął Hubina.

Von Kschitzky błyskał zuchwale i złowrogo zielonkawymi ognikami; wtem zmienił ton i uśmiechając się sentymentalnie zaszeptał:

– *Ich liebe meine Mutter* – i już wyjmował z portfela jakieś fotografie, które podawał Hedyce.

– *Ach, wie liebes Mütterchen* – rozkoszowała się ckliwie.

– A to moja ciocia... a to babcia... a to druga ciocia...

Przysunął się do Hedyty; pastorowi wydało się, że się przytulił do niej ramieniem, ale nie był tego pewny; w każdym razie widział wyraźnie, jak ich złociste włosy mieszały się w świetle lampy, jak wspólnie lśniły i migotały. Uprzejmie podawali i jemu wizerunki do oglądania: „To jest moja matka” – objaśniał von Kschitzky uroczyście; Hubina ujrzał kościstą starszą damę, wyprostowaną jak grenadier, w pofałdowanej bluzeczce z bufiastymi rękawami, w wylizanej fryzurze, o dostojnie drewnianym a dość chmurnym spojrzeniu; „To jest moja ciotka Elza, a to Fryda...”.

– Duże podobieństwo rodzinne – zauważył Hubina, kiedy Kschitzky przeprosił gospodarstwa, wyszedł obiecując wrócić za chwilę.

„Pewnie idzie po nową serię krewniaczek” – pomyślał sobie Hubina i, rzucając na stół fotosy, zachnął się:

– Zwykły szwab wylazł z tego anarchisty!...

Hedyta wyprostowała się.

– Nie zapominaj, kim ja jestem!

Hubina, nie czekając na powrót Kschitzky'ego, zeszedł na dół.

„Religijność Trzech Wieszców” – zatytułował czystą kartę i rozpoczął swoim drobnym, ale wyraźnym, jakby dziecinnie kaligraficznym pismem: „Religijności Słowackiego, Krasieńskiego, a nawet i Mickiewicza, nie pojmie należycie nikt, kto nie dostrzeże, że ich naczelną a wspólną ideą religijną jest idea reinkarnacji lub (żeby spolszczyć ten termin) idea wielożycia...”

Idea reinkarnacji... idea wielożycia... co lepiej brzmi po polsku? Czy tego rodzaju złożenie jak „wielożycie” odpowiada duchowi naszego języka?... Co oni tam robią? Jak się przytulili do siebie – a może tylko tak mi się zdawało. Jak się obraziła o tego błazna... Idea reinkarnacji... Z góry pomiędzy falami muzyki spływała i kapiała mu na głowę kroplami cisza... Przez okno niedomknięte wciskała się niepokojąca woń jaśminu. Na ciemnej murawie przed oknem pracowni plamiły się świetlisto romby okien saloniku; muzyka zamilkła, a te światła długo jeszcze tam leżały na czarnym tle. O czym oni tak długo rozmawiają? Coraz sobie bliżsi, coraz się lepiej rozumieją? A ja?... Pastorze Hubino, nie wolno panu być samotnym!... Dopóki te światła tam leżały; w niepokoju zazdrosnym była jeszcze jakaś marna pociecha... póki jasno, chyba nic podlejszego?... O chlebie, podły chlebie żebraczy!... W pewnym momencie, gdy spojrział przez okno, już było ciemno – w całym domu ciemno i głucho. Złowroga cisza – gęsta od nieczystych i nieprzeniknionych tajemnic – wisiała jak lawina, co się ma zaraz oderwać... Wiem, gdzie mam

iść, gdzie nie iść, idę gdzie nie chcę... Przymykał spiesźnie okiennice, przygaszał lampę i, cichutko zamykając drzwi pracowni, na palcach, po omacku, chwytając się poręczy schodów, wspinał się na piętro.

Ja, pastor Hubina, skradam się jak złodziej...

Stapał powoli, na każdym stopniu głośno tupiąc.

Gdy już tak dotarł do pierwszego piętra, skrzypnęły jakieś drzwi; nie wiedział które; ktoś przed nim w ciemności zaszeleścił. „Hubina zaświecił lampkę elektryczną; przed nim, w smudze błękitu, fioletowił się i jaskrzył – w jakimś chińskim płaszczu nocnym, w pantoflach z pomponami – von Kschitzky.

– Co pan tu robisz?!

– Czyż nauczyciel muzyki nie ma prawa do niedyspozycji narządu trawienia?...

Hubina uczuł się potwornie śmieszny – a może i niesprawiedliwy?... Wszak Kschitzky parę razy ułatwiał się podczas dzisiejszej herbaty... Pastor zmieszał się, zatroskał:

– Nie służy panu nasz wikt?...

– Barszcz mi nie służy – von Kschitzky odparł gromko i zniknął z szelestem.

Hubina został sam, w ciemności, z latarką nie wiadomo czemu przygaszoną. Nie pozostawało nic, jak wrócić na dół. Nie wrócił. Z bijącym sercem namacał dobrze wiadome drzwi, otworzył; świeciło się jeszcze; rozchylił kotarę, patrzył przez krótki moment, ale potem, kiedy tę chwilę wspominał, wydawała mu się rozciągała na wiele godzin; zawrócił, trzasnął drzwiami, biegł do pokoiku Olesi, wyciągnął biedne, zaspane i

przestraszone dziecko z łóżka, włókł ją do sypialni małżeńskiej, „Tu będziesz spała, tu będziesz spała!...” Ona stała jeszcze przy lustrze, teraz oparta o konsolę, ale już miała na sobie płaszcz nocny. Zdumionym wzrokiem spoglądała na męża. On, kiedy wybiegał – rozszalały jak był wbiegł – usłyszał za sobą, po polsku, nie po niemiecku: „Śmieszny człowieku!...” i usłyszał śmiech, którego nie zapomni nigdy – i nie zrozumie nigdy. To był jakiś dziwny śmiech. Niejeden raz będzie usiłował odtworzyć sobie w uchu pamięci tonację tego śmiechu – i nigdy nie dosłyszy w nim nienawiści... raczej jakby...jakby... jakby co?... Tego właśnie nie pojmie nigdy. Cóż to był za śmiech!...

* * *

„Religijności Słowackiego, Krasińskiego, a nawet Mickiewicza, nie pojmie naleyście nikt” – com ja zrobił, com ja zrobił, głupiec potworny, śmieszny głupiec, lichota, błazen – ja, pastor Hubina... i teraz już nigdy, już naprawdę nigdy... I może dopiero teraz, dopiero teraz, dopiero dziś?... Olesia ma twarde sen... I teraz ja, ja będę winien wszystkiemu... W tę agonię straszliwą wplatała się coraz wyraźniej wspaniała, śnieżysta wizja – coraz plastyczniej, coraz natarczywiej... Wiedział, że noc, co go czeka, będzie nocą męki bezprzeszanej. Trzeba gdzieś iść... Gdzie iść?... Zamykał cicho drzwi; wymknął się za nim pies, od samych drzwi wtórzając basem jakimś dalekim psim alarmom; wykradał się z dziedzińca kościelnego, co wołał za nim godziną

dwunastą i pół; po wschodniej stronie nieba już się księżyc z rudomiedzianego i gorącego w białosrebrzysty i zimny zmieniał; było jasno i ciepło, noc niepokoiła jaśminami i wszystką wilgocią soczystą nocy wiosennych.

* * *

Miasteczko już spało. Lecz na ulicy Ucizyńskiej w jednym oknie jeszcze się świeciło. Przypomniał sobie, że nie wziął papierosów; uczuł pustkę nieznośną w przetyku; Kaduloczka jeszcze nie śpi; kupię u niej; obejdę się bez tytoniu – i już, z drzeniem, jak złodziej, podchodził do okna; zawahał się, zapukał; odsunęła się żółta zasłona i szyby wypełniły się ciemną sylwetą kobiety; zaraz się i okno otworzyło, kobieta w bieli wychyliła się i zdumiała:

– Pan pastor?!... – Jakby przerażenie zadrgało w jej głosie, nieco chrapliwym, lecz miłym.

– Tak, to ja, zapomniałem papierosów, widziałem, że się jeszcze u pani świeci... – tłumaczył się gorliwie a nieśmiało.

Nadskakiwała usłudźnie:

– A może piwka, może wody sodowej? Dzisiaj ciepło...

– Nie, nie potrzeba, tylko o te papierosy proszę...

Przymknęła okno, okno ścmiło się, widocznie lampę wyniosła; za chwilę usłyszał, jak otwierała drzwi od ganku, już stała na schodkach, podawała papierosy; podszedł ku niej, płacił.

– Ale gdzież, gdzież ja bym brała od pana pastora za takie coś.

– Skądże, należy się...

Cofała ręce; ujął jej rękę w przegubie i wciskał w dłoń monetę; dłoń była trochę szorstka, trochę spocona, obszerna, ciepła i jakby dobrodusznna; wplotła się w jego palce mocnymi palcami; stała przed nim bez czepca, a twarz pozbawiona tego majestatycznego przystroju okazała się duża i gruba, wcale pospolita, ale śmiałe oczy wyraziste były i życzliwe, a ze stanika bez rękawów wylaniały się i srebrzyły w poświęcie miesięcznej obfite, głębokie ramiona, ale bynajmniej nie jakieś wampiryczne ramiona osławionej ladaczniczki, lecz jakby dobrotliwe, łagodne i bezpieczne, do zaśnienia błogiego zapraszające ramiona kobiety-matki.

– Proszę wstąpić, napić się, nie ma nikogo... – mówiła, zawsze z respektem.

No, niech mnie tu kto zobaczy, ładna historia... może ją niesłusznie obmawiają... te ramiona jak przepaść... *dulce est desipere*... „należy mi karczmareczko mocno przepalonej, a ty – bratku – pij wesoło, gach u twojej żony...” (zanadto był intelektualistą pastor Hubina, aby mu się po głowie nie plątały w każdej sytuacji reminiscencje literackie)... a może ja niesłusznie i niesprawiedliwie?... przekłeta fizjologia... raz rzucić się głową w dół... wszystko trudne... no, niech mnie kto zobaczy tutaj...

– Dobranoc pani – wyrwał dłoń z oplotów coraz silniejszych i coraz zuchwalszych, odchodził szybko.

Zanim uszedł kilkanaście kroków, już był zadowolony z tej odpartej zwycięsko przygody, już zapomniał o tym, już. znowu cierpiał. Za nim, trop w trop, dreptało wierne psisko. Gdyby nie ten pies...

Ja, pastor Hubina, nie mam prawa czuć się samotny...

O, gdzieżeś, gdzieżeś się ukrył, w jakich tajniach okrutnych?!...

* * *

Już się księżyc przewalił na zachodnią stronę nieba, już się skurczył i zużył, a krajobraz spowił się masą mgieł, kiedy pastor Hubina – zadyszany i zmęczony, z bijącym mocno sercem – wciągnął się na wierzchoły Bukowca, zwałił się na ścięty pień; u nóg pies z wywieszonym jęzorem, nad słuchujący czujnie jemu tylko wiadomych odgłosów nocy.

Gdzieś w tej okolicy, ongiś, niespodziewany wąż przeraził młodziutką brzemieną matkę; z jakąż złością siekał na kawałki to słabe zwierzę, z jakąż nienawiścią mściwą patrzył wąż; zemsta węża: pomścił się wąż straszliwie, drewnianym węzem, na tym dziecku, na matce (czy i na matce?!...), na mnie, na dzieciach, na wszystkim. Niezbadane tajne sploty... Brednie, brednie, bezlogiczne brednie!... Ze wstrętem wyrzucał z siebie i wypluwał pastor Hubina tego krętacza oślizłego, co z takim cynizmem ośmielił się drwić z jakiegokolwiek konsekwencji... Jej to nie razi... Jak się przytulali do siebie... dwoje szwabów... Boże, co mówię, przecież

ona... Jakimże prawem jej nienawidzę?!... Tyle lat, tyle lat... Była dobra, była już zżyta ze mną, z tym wszystkim... serdecznie... Czy serdecznie?... Czy było jej tutaj – ze mną – kiedykolwiek swojsko?... Zawsze była myślą gdzieś daleko... zawsze zadumana, zawsze niepokojąca... tak, zawsze daleka, zawsze niepokojąca... całe to życie sielankowe – to był jeden mój wielki niepokój; tak, tak! Wrywała się w swój świat i już dzieci ze mną mieć nie chciała, i nawet wspólna żałoba nie pojednała jej ze mną, i nad grobem dzieci była obca mi, i w pierwszą noc... Zaciekał się w gorzkim uporze: i niech będzie, co chce; niech idzie sobie precz, ze szwabem, do swoich, do swoich!

Ale ja wam powiadam: ktobykolwiek opuścił żonę swoją oprócz przyczyny cudzołóstwa.....Miłujcie, miłujcie... Od tych słów, jak zawsze, strącały się w nim jak sole z roztworu pod kroplą odczynnika, opadały niebawem jady gorzkie i napełniał się cały psychorganizm błogą dobrocią i nadzieją; dobroć i nadzieja wywabiały miłsze wspomnienia. Ta dobra ręka kiedyś na mojej ręce... *Oprócz przyczyny cudzołóstwa...* Jakimże prawem podejrzewani ja?!... Które to drzwi skrzypnęły, skąd się on wysunął? Wszystko – całe życie – teraz zależało od tego skrzypnięcia drzwi: które drzwi?!... A tego właśnie nie umiał sobie dokładnie przypomnieć, tych drzwi skrzypiących w tej ciemności zlokalizować. Nie, to wykluczone. Jak popatrzyła na mnie, kiedym wszedł? Nie, to nie był wzrok ani przerażony, ani zmieszany – tylko jaki? Tylko zdumiony? Trzeba było wtedy... Ale skąd, po co to lustro?

Przypatrywała się sobie. Po co, skąd – po tej długiej wieczornej rozmowie? Widocznie mówił jej coś takiego, widocznie ją roz... – pastor Hubina przyciął w myśli słowo lubieżne. I wtedy ja, mąż? Korzystać z takiego jej momentu? Powinowactwa z wyboru... I mieć dziecko podobne do tego... Brać ciało, nie brać duszy? Ohydna fizjologia, płaska, chamska. Godzić się na ochłapy? Ja, Adam Hubina, człowiek dumny... Bóg nie chce dumy, Bóg jest ponad honor. Czy Bóg jest ponad honor? Nie wiem, nic nie wiem. Byłbym kłamał wewnętrznie, gdybym wtedy był podszedł do niej, bo, dalibóg, nie dla Niego, ale dla siebie; o tak, tylko dla siebie... A może i dla niej?... Może uradowała się, że przyszedł, może czekała na mnie, może pragnęła oderwać się od tego krętacza?... A ja szalenie, śmieszny głupiec, pyszałek, marnotrawca!... Pamiętasz,, zadrwiła z ciebie? Śmiechem cię goniła? Cóż to był za śmiech? Czy nienawistny, czy szyderczy? Nie wiem, nic nie wiem...

W pewnej chwili nagle te wszystkie myśli – jadowite a pogmatwane jak węzowisko – oderwały się odeń jakby coś obcego. Skąd ja, po cóż to wszystko mnie, cóż to wszystko znaczy? Miłostki małżeńskie, zazdrość, współzawodnictwo z chłystkiem o kobietę – to wszystko zdało się jakby przylepione z zewnątrz, z jakiegoś całkiem obcego świata, który nie jest prawdziwy, który jest błahy i niepotrzebny. Tu jest prawdziwy świat – tu, w Przygórzu, z tymi ludźmi, z tą kazalnica, z tymi książkami na stole, z tymi kwestiami...

Ach, i z tą żoną – i z tymi dziećmi... Z tą żoną, z tymi dziećmi...

Z tą żoną, z tymi dziećmi... i znowu przyczepił się do niego cały ten świat, przed chwilą jakby niepotrzebny – znowu śmiertelnie ważne było, które drzwi zaskrzypiały, jak ona popatrzyła stojąc tam przed lustrem, widocznie wspaniałą pięknosć swoją studiując; po co, dlaczego, jak się zaśmiała – z nienawiścią szyderczą czy jakoś inaczej, ale jak, jak?... Wracały gwałtem, wciskały się w głowę rozpaloną, oplątywały chaotycznie, lepily się i czepiały te wszystkie niepotrzebne sprawy, od których zależała cała przyszłość i cała przeszłość. Tak, rozumiał teraz, że kiedy się przyszłość ułoży i wyjaśni, to i przeszłość będzie dobra; a kiedy przyszłość zanurzy się w wir brudnej katastrofy, to i przeszłość otrzyma sens złowrogi, przypadnie na zawsze, i ona – na zawsze; wtedy nie zostanie już nic; tylko ta Olesia ospała, te dzieci, tam, pod kamieniem.

Zazdrościł teraz Wątorskiemu; ten ma immunitet; bezpieczny żyje w swoim kręgu modlitwy i dyscypliny; nie przylepi się do niego nic śmiesznego, nic obcego, nic ze świata żądź i grzechów; jego samotne noce chłodne są i smutne, ale czyste i proste; wiedzieli oni dobrze, co potrzeba kapłanom! *Błogosławieni czystego serca*; czy ja umiałem kiedykolwiek modlić się całym sercem, jak Wątorski? *Iżeś ani zimny, ani gorący – przeto wypluję cię z ust Moich...* Komu się podobać pragnąłem? Ani Jemu, ani jej. Czym jestem, czym byłem –kochankiem czy kapłanem?...

Czym byłem dla niej? Czyja wina, czyja wina?!
Czym szedł kiedy do niej inaczej niż z nieczystym
sumieniem? Wstyd tajny, grzech nieodstępny stały nade
mną. Cóż jej dawałem, co brałem? Fizjologia, przeklęta
fizjologia! Pastor Hubina szedł zgarbiony podejrzeniem
siebie o ciężką winę.

* * *

„Jak tajemnicza ta chwila nocy, kiedy noc kona, księżyc
blednieje i gwiazdy już gasną, ale lśnią jeszcze, lśnią
jeszcze jasno" - szeptał pięknodźwięczne rymy, idąc
przez uśpione jeszcze miasteczko; w ciszy
przedporannej, pełnej dobrych obietnic, odzywały się
pierwsze ptaki; on był strudzony bezsenną nocą, lecz
spokojny; światło wschodzące dnia, powietrze
porankowe wiosny – rozpraszają nocne widma,
podejrzenia, przesady, egzaltacje, lęki, chorobliwe
skrupuły; w tym świetle i tym powietrzu nie wierzy się,
aby nieodwołalna była rozpacz i wierzy się chętnie, że
wszystko, co nadzieją tchnie, może jeszcze być...

Cierpko i jałowo miał na podniebieniu i w
przełyku; pił dużo zimnej wody; po czym ułożył się w
chłodnym łóżku i zasnął niebawem, zdrowo i twardo,
bez snów.

* * *

Wstał dosyć późno, gdyż służebne nie śmiały go
budzić, wyszedł do miasta dla sprawunków, załatwił

interesantów, w południe przeszedł przez sień do sali jadalnej (która była na dole). Zdziwił się, że tak cicho i że jedno tylko czeka nakrycie. Hanka wyjaśniła nieśmiało, że „państwo poszli na wycieczkę...”

– Jacy państwo?!...

– Pani, pan Ksicki... Olesia tyż.

Poszli... Dzień był piękny od rana; ze mną nigdy... Olesię wzięli... dla niepoznaki... dla zamydlenia oczu!...

Nie mógł oprzeć się wrażeniu, że dziewczyna spogląda nań z litością; nie czuł się poniżony tą litością naiwną; zauważył też zniechęcenie, że ta dziewczyna bynajmniej nie ma oczu tak bezmyślnych, jak to jej przypisywać było zwyczajem w domu.

* * *

„Nietrudno zrozumieć, dlaczego dotychczasowi badacze twórczości naszych wielkich poetów, acz niejednokrotnie tak głęboko w nią wnikający, nie docenili jednak znaczenia... nie docenili znaczenia...”

Odrzucił pióro; wziął małą książeczkę, otworzył, czytał:

„W ciemnosmreczyńskich skał zwaliska, | Gdzie
pawiookie drzemią stawy, | Krzak dzikiej róży pąs swój
krwawy | Na plamy szarych złomów ciska. | U stóp mu
bujne rosną trawy, | Bokiem się piętrzy turnia śliska, |
kosodrzewiny węzowiska | Poobszywały głaźne ławy...

W skrytych załomach, w cichym schronie, | Między
graniami w słońcu płonie, | Zatopion w szum, krzak

dzikiej róży... | Do ścian się tuli jakby we śnie, | A obok
limbę toczą pleśnie, | Limbę, zwałoną tchnieniem burzy.

...a obok limbę toczą pleśnie... Limbę zwałoną
tchnieniem burzy...

W seledyn stroją się niebiosy...”

Odrzucił książkę; zbyt opieszale zbliżał się
wieczór; jakże bezmiernie długie było to pogodne
popołudnie; Hanka przyniosła podwieczorek; nie jadł;
nie wiadomo dlaczego pogłaskał ją po policzku.
Ściemniło się, lampy nie zaświecał; całą świadomością
swą nadśluchiwał, kiedyż powrócą, kiedyż zlitują się i
raczą wrócić wreszcie?!... Waliło serce jak dziki jamb,
jak wściekły grad.

Był już mrok, kiedy wreszcie posłyszał głosy; szli;
przemknęły białe sylwety poprzez okno; wchodzili na
schody...

– Olesiu, Olesiu!... – wołała z góry pastorowa.

Ale Olesia była już przy ojcu. Wśliznęła się
nieśmiało, a kiedy spytał: „Przyjemnie było?”, nagle
rzuciła mu się na szyję i zapłakała.

– Tatusiu, tatusiu!...

– Dziecko, co się stało, czego płaczesz?!...

– On jest wstrętny, wstrętny, nienawidzę go –
szeptała przez łzy i szlochy.

– Cóż złego ci zrobił, skrzywdził cię, mamusię?
Powiedz.

– Nie powiem, nie powiem – tuliła zapłakane
policzki w brodatą twarz ojca.

Nie nalegał na odpowiedź – ani teraz, ani nigdy później.

Straszny był ten nie wiadomo czym spowodowany płacz dziecka, ale zarazem Hubina szczęśliwy był, że to dziecko płacze, to dziecko ma duszę, nie straciło serca; czuł, jak kocha te łzy dziecinne, co mu po ciemku ciepłą kąpielą twarz zwilżały. Dziewczynka płakała coraz ciszej, usypiała; odprowadził ją na łóżko swoje, ułożył, pocałował w czoło woniejące potem spaceru całodziennego, lasu i żywicy, zapalił lampę w pracowni, otworzył i zamknął z powrotem kasę – i szedł na górę.

* * *

Von Kschitzky siedział w swym chińskim płaszczu i czytał. Jakby się zmieszał, ujrawszy wchodzącego pastora, ale w tym momencie przybrał swą zwykłą uprzejmie pogardliwą, nieubłaganie chłodną fizjonomię.

Hubina rozpoczął spokojnie, jak sobie był postanowił:

– Panie von Kschitzky – ale zaraz wybuchnął – od jutra: *weg!*"

Rzucił mu kopertę na stół.

– Przelicz pan!

Von Kschitzky niewzruszony liczył pieniądze, chował do portfela: „*Stimmt*”.

Hubina już odchodził, gdy usłyszał za sobą po polsku: „Panie Hubina!”

Zatrzymał się, odwrócił; von Kschitzky podszedł ku niemu; cedził dyszkantem: „*Ich weg – aber Sie, Sie sind..*” Zawahał się.

– A ja co jestem?

Kschitzky ostrożnie usunął się za krzesło, długopalczastymi rękami wpił się w poręcz.

– A ja co jestem?!

Patrzyli sobie w oczy. Pierwszy raz w życiu widział pastor Hubina oczy tak rzeczywiście złe. Straszliwa wola zniszczenia była w tych oczach fosforycznie białych. Nic, tylko ten jeden wyraz potężnie nakazujący, to jedno chcenie przemożne, już nic ludzkiego –tylko to jedno: zgiń, zdechnij, przepadnij!...

I jego objął z nagłą ponury płomień tej samej złej woli. Podział się z nagłą cały świat dookolny; zanikły i zamilkły, pochowały się przerażone wszystkie inne myśli i chcenia; był już tylko jeden magiczny krąg, geometrycznie zamknięty krąg, wyznaczony adekwatnie tym jednym jedynym równaniem – piekielnej matematyki: zgiń, zdechnij, przepadnij!

– A ja co jestem?...

– ...*und Sie, Sie sind* – sylabizował Kschitzky – ...
Sie sind ein gemeiner Lump. I cham – dodał po polsku.

– Toś ty jest cham i szelma – ryknął Hubina i rzucił się z pięściami.

* * *

Runął, ciężki jak niedźwiedź.

Zbiegły się kobiety; dźwigały go z trudem na jego łóżko – Hedyta, Hanka, Dominika; zbudziły leżącą tam Olesię, która już dobrze sobie chrapała; Olesia ujrzawszy zemdlonego ojca uderzyła w głośny płacz; za nią w głos służebne zaczęły zawodzić; okna były otwarte; nie było jeszcze późno, ludzie schodzili się, zaglądali, szeptali między sobą: „Coś źle dzieje się w tym domu”.

Hanka, posłana przez Hedytę, biegła po lekarza; zanim dr Birger nadszedł, Hubina już się ocucił, siedział w łóżku, uśmiechem wymuszonym – „To nic, to nic, drobnostka” –pokrywając okropne zawstydzenie tą trywialną awanturą. Pastorowa, po krótkiej konferencji z lekarzem, wycofała się na górę do siebie. Von Kschitzky miał czas spakować manatki i oczekiwał już na stacji pociągu wieczornego, który przez Przygórze przechodził i szedł na północ.

VI

Ciężkie były tygodnie, które nastąpiły po tym zajściu. Małżonkowie wzięli rozbrat nie tylko od łoża, lecz i od stołu. Olesia, wytracona z równowagi, pozbawiona lekcji, nie mając co z wolnym czasem robić, osamotniona, plątała się między kuchnią a dwojgiem rodziców nic nie rozumiejąc, a może – co gorsza – rozumiejąc coś? Bezmiernie smutny był pastor Hubina, obserwując biedne dziecko. Lecz i los żony był mu ciężkim strapieniem. Zamknęła się

u siebie, jak pustelnica w wieży, nawet w piękne dni lata nie otwierała okien. Aż raz litość i pragnienie pojednania przemogły zawziętą dumę – i poszedł do żony.

Nie odwróciła się, kiedy wszedł. „Hedyto...”.
Milczenie. „Żono...”. Milczenie. Po chwili: „Nie jestem już pańską żoną” (mówiła po polsku).

– Co to znaczy?!...

– Proszę domyślić się.

– Na Boga, cóż to znaczy?!...

– Tylko o swoim Panu Bogu proszę mi nie mówić!

Mam dość!...

– Nie mów tak, nie bluźnij!...

– Nienawidzę tej gadaniny, ten wasz Bóg nic nam nie pomógł, od niczego nie obronił, od niczego...

Pastor Hubina milczał długo; aż nieśmiało:

– Może za mało było u nas dobrej woli...

Odwróciła się gwałtownie:

– U ciebie nie było dobrej woli, u ciebie!

Zafrasował się:

– U mnie, dlaczego?...

Milczała uparcie.

– Powiedz, mów wszystko, może się wszystko jeszcze wyjaśni...

– Za późno, mój panie.

– Dlaczego za późno, nigdy nie jest za późno, chyba że... Ależ to niemożliwe!

– Wszystko możliwe.

– Wszystko? Naprawdę wszystko?

– Wszystko.

- Kiedy? !...
- Wtedy, wtedy, ty śmieszny, głupi, zły człowieku!
- Byłem śmieszny, głupi, zły człowiek, prawda jest.
- Straszne zapadło milczenie. – Moja wina, tak, moja wina!

Lecz zaraz przypomniały się krzywdy i już wstawał ciężki gniew.

– Dzieci ze mną mieć nie chciałaś, odpychałaś mnie, cyniczny krętacz ci się podobał, całe życie byłaś jak obca...

– Bo byłam obca...

– Och, nie mów, nie byłaś obca...

– Byłam, byłam obca, było mi tu źle...

– Nie mów, było ci tu ze mną, z nami tutaj dobrze, przecież byłaś łagodna, dobra byłaś..

– Nie byłam dobra, byłam tylko posłuszna, ja byłam posłuszna, a tyś był mój tyran, całe życie, całe życie...

– Ja, twój tyran, przecież kochałem cię...

– Jak się kocha psa: za to, że jest pokorny...

– Przecież nie wymuszałem na tobie nic...

– Kochałeś, niby to kochałeś mnie, za to tylko, że udaję, że jestem taka jak się tobie podoba, że udaję tę waszą Polkę, dobrą parafiankę, bogobojną chrześcijankę i Bóg wie co tam jeszcze...

– Nie udawałaś, teraz kłamiesz, byłaś taka, jakże inaczej mógłbym cię kochać? Gdybyś była inna, nie byłabyś mój człowiek...

– Ach tak, twój człowiek; chciałeś mnie mieć, mieć dla siebie...

- Tak, chciałem cię mieć, ale nie tylko dla siebie...
- Wiem, wiem, aż za bardzo: chciałeś, ażebym była służką całego twojego świata...
- Chciałem, ażebyśmy wspólnie kochali, bo wspólnie kochać...
- A ja całe życie marzyłam o tym, aby mnie ktoś kochał taką, jaka jestem: zwykła kobieta, co chce żyć, żyć, rozumiesz, bez żadnego szulmajstrowania...
- Nie powtarzaj za podłym szwabem...
- Tobie wada do niego... to pierwszy człowiek...
- ...co się poznał na tobie...
- ...co mówił mi, że za mną szaleje i kocha mnie nie dla ideału jakiegoś tam, i nie chce ode mnie nic, tylko żebym była jaka jestem, przeciętna kobieta, co lubi stroić się, jeździć, bawić...
- Och, łotr...
- Możesz mnie tu trzymać pod kluczem, a ja o nim nie zapomnę...
- Nie trzymam cię pod kluczem. Ochłapów nie chcę. Idź!
- Pójdę.

* * *

Teraz nie pozostawało nic, jak z gorzką zaciekłością pielęgnować w sobie beznadzieję czynną, wolę do niszczenia.

I teraz pojął, że wszystkie te beznadziejności, które był dotąd przeżył, były niewinne i błahе wobec tego ostatecznego i definitywnego *N i g d y*, co się w nim

teraz rozrastało; wtedy, w gruncie rzeczy, zawsze się tliły jakieś maleńkie i nieśmiałe nadzieje; obecnie nie było już na co czekać.

Łudził się: z serca dobrego człowieka nigdy nie wysycha doszczętnie nadzieja; jak w pustynnej studni woda podskórna, tak się ona tam zbiera niewidzialnie, sączy po cichu kroplami, nieustannie, wieczyście.

VII

Owego dnia leżał; nie czytał nic; okno było niedomknięte, mała lampa świeciła się. Konie zajechały. Hedyta weszła w podróżnym płaszczu. Zamienili obojętnie kilka słów dotyczących gospodarstwa; biała i milcząca twarz była nieubłagana. Podała rękę w zamszowej rękawiczce, zamienili konwencjonalny uścisk dłoni. Odchodziła.

Przy drzwiach zatrzymała się. Jakby ścięta, pochyliła się harda głowa, zgarbiły smukłe i dumne plecy. Patrzył na te plecy i wiedział, że kocha te plecy – pochylone, tkliwe.

Odwróciła się. Płakała.

– Hedyt...

Podeszła. Dłoń położyła na głowie męża.

– Adam...

Płakali. Po cichu, wstydliwie, żeby ich kto nie dojrzał, nie dosłyszał.

Do okna zastukał woźnica: „Proszę pani, już czas”. Wyrwała ręce, biegła ku drzwiom. Zatrzymała się, długo, starannie wycierała oczy, twarz zapłakaną.

Ponownie stukał woźnica, już niecierpliwie: „Spóźnimy się”. Wybiegła, nie oglądając się.

Za chwilę słyszał, jak konie ruszyły. Potem słyszał bieg pociągu. Potem Olesia z Hanką wróciły ze stacji. Olesia była troskliwa, poważna, zamyślona; ponieważ bała się sama jedna spać na górze, zadysponował, żeby Hanka z nią sypiała. Potem okna zamknięto, światła zgaszono. Był znowu sam; po wszystkich torach świata pędziły oświetlone pociągi; noc biła w zegary dalekimi godzinami.

Karol Ludwik Koniński
Dalsze losy pastora Hubiny

Redakcja: *Hanna Milewska*

Projekt okładki:
STUDIO OŻYWIANIA KSIĄŻKI KARTALIA

Copyright © for the e-book edition
by FUNDACJA FESTINALENTE 2013

Warszawa 2013

ISBN 978-83-7904-393-4, Festina 2013

Fundacja Festina Lente
ul. Nowoursynowska 160B/7
02-776 Warszawa



FUNDACJA
FESTINALENTE
www.festina-lente.org.pl



www.chmuraczytania.pl



www.eLib.pl